ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy »DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Nr 26

Katowice 6 lipca 1947 - Rok 2

Technika idzie naprzód

Tak wygląda elektryczny pociąg przyszłości, skonstruowany przez znanego amerykańskiego technika komunikacyjnego. Kolejka elektryczna, której model wraz z torami powietrznymi przedstawia reprodukowane zdjęcie, rozwija szybkość do 400 km/godz. i przyspieszyć ma szybkość połączeń między miastami i zbyt oddalonymi od nich miejscowościami letniskowymi.

Nowy typ samochodu 4-osobowego, marki „ZIS" postawili do dyspozycji delegatów konferencji moskiewskiej, konstruktorzy radzieccy. Zdjęcie przedstawia szereg tych wozów, zaparkowanych na placu przed hotelem, zajętym przez poszczególne delegacje.

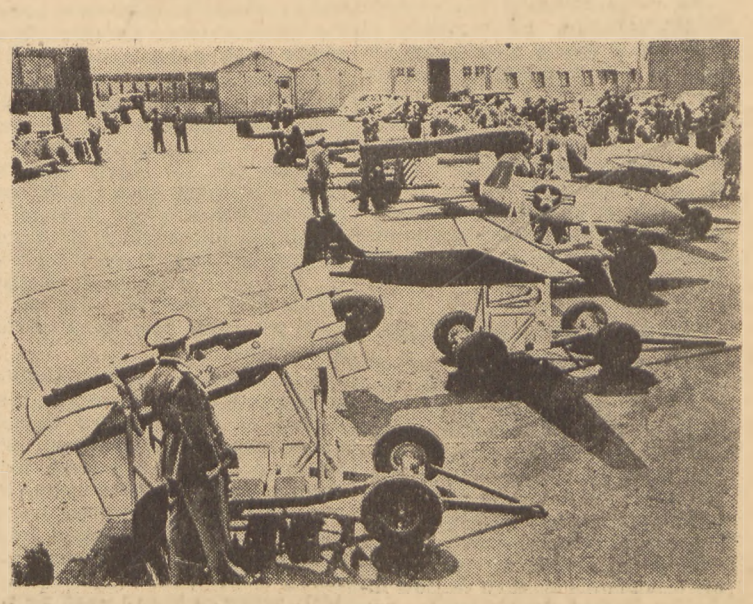

Marynarka USA urządziła dla przedstawicieli prasy, na poligonie w Point Mugu (Kalifornia), wystawę najnowszych modeli pocisków rakietowych. Na pierwszym planie model „Małego Janka", rakiety przeciwlotniczej, w środku model niemieckiej V 1.

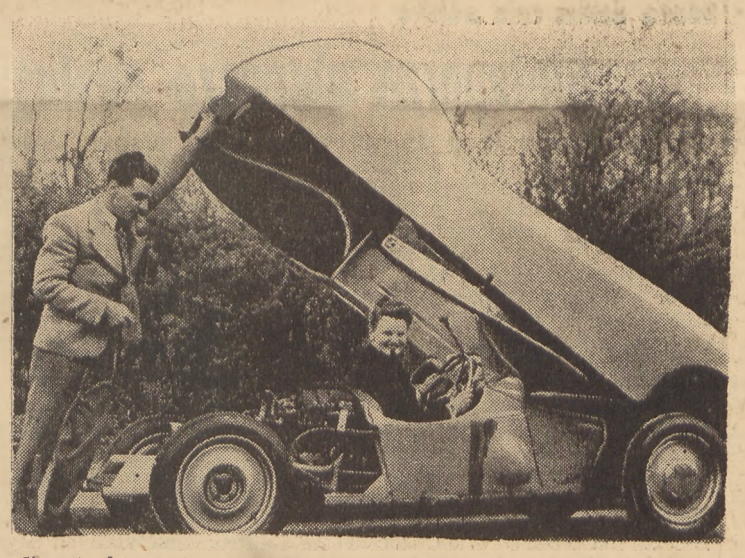

Konstruktorzy brytyjscy Charles Cooper i jego syn zbudowali również model najmniejszego samochodu świata, tylko dla dorosłych. Cena wozu przy zracjonalizowanych metodach produkcji wynosić ma około 250 funtów szterlingów. Konstruktorzy sądzą, że cenę tę można będzie nawet obniżyć. Samochód zużywa 3,75 litra benzyny, rozwija szybkość do 113 km/godz. Motor, umieszczony w tyle samochodu, spoczywa na konstrukcji aluminiowej

Wszystkie zdjęcia „Associated Press"

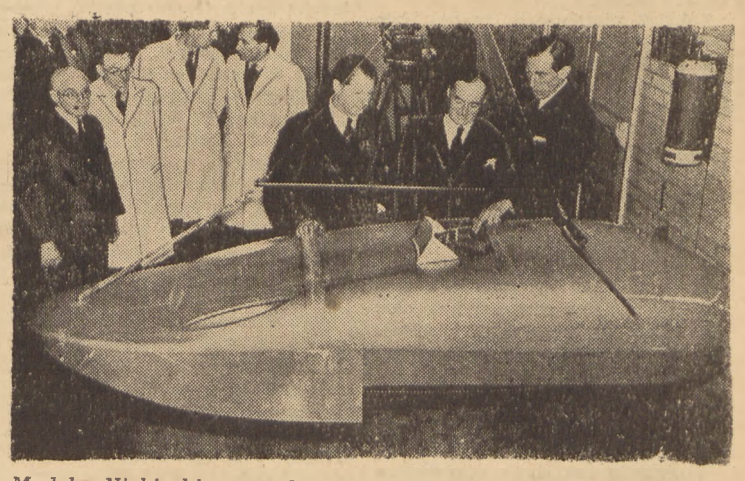

Model „Niebieskiego ptaka II" — łodzi motorowej, na której znany sportowiec, sir Malcolm Campbell (w środku) zamierza pobić ustalony przez siebie rekord światowy — 228 km/godz. Obok Campbell'a stoją: z prawej — ku lewej — mjr. Halford, przedstawiciel zakładów, które dostarczyły silników turbinowych dla łodzi.

Ks. Michał Rękas

Dwa razy w Gdańsku

Złożyło się tak dziwnie, że w roku bieżącym byłem w Gdańsku po raz drugi w życiu. Pierwszy raz byłem w nim przed 25 laty. Gdyni wtedy jeszcze nie było. Gdańsk pysznił się swoją siłą i chciał zagłuszyć, przytłumić gruntownie wszystko, co wówczas było polskie w Gdańsku.

Przed 25 laty byłem także w „Marien-Kirche". Kościół Mariacki robił smutne wrażenie. Przewodnik — na wyraźne życzenie zwiedzających — otworzył drewniane przepierzenie za którym ukryto piękną figurę Matki Bożej, zwaną wówczas Jungfrau Marie. Był to dla ówczesnych gospodarzy kościoła zabytek bardzo niewygodny.

Teraz kościół Mariacki wygląda inaczej. Idzie się do niego wąską ścieżką wśród ruin i resztek ścian grożących zawaleniem. Ruiny kościoła ogrodzono drewnianym parkanem. Gruzy wokoło uprzątnięte. Przez otwór zrobiony przez bombę wchodzą robotnicy, krzątający się na zewnątrz i wewnątrz. Dach i sklepienie znikły zupełnie. Pokręcone od żaru ognia blachy dachowe składa się w kącie. Gdzie indziej zwozi się i składa długie żelazne sztaby, pewnie do łączenia naruszonych murów. Ołtarz główny zniszczony, został tylko stół i na nim postawiono duży drewniany krzyż. Na ścianach zachowały się tu i ówdzie resztki fresków i płaskorzeźb. Ze zdziwieniem dojrzałem na jednej z kolumn doskonale zachowaną tabliczę marmurową z napisem.

Przystąpiłem bliżej. Odczytałem złotymi łacińskimi literami wyryte słowa z listu św. Pawła do Galatów (5:6): **„W Chrystusie Jezusa wiara działa przez miłość"**. Następnie z listu pierwszego do Koryntcian (13, 13): **„Teraz trwają wiara, nadzieja, miłość, to troje, ale z tych większa jest miłość"**. Dalej niemieckimi literami zapisano z Ewang. św. Mateusza (25, 35): **„Łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem a napoiliście mnie, byłem chory, a nawiedziliście mnie!"**

Na wezwanie władzy duchownej pojechałem do Gdańska, by pomóc w organizacji Apostolstwa Chorych i parafialnych nabożeństw dla chorych. Z duszpasterzami i chorymi mówiliśmy wiele o treści tego, co było wyryte na tablicy kolumny w kościele Mariackim. Jakże dziwnie proroczo brzmiał teraz ten napis w zbombardowanym kościele. Wybudowany przed laty przez Polaków-katolików ku czci Marii w polskim Gdańsku, doczekał się ten kościół bombardowania, spalenia. Doczeka się odbudowy.. Słowa na tablicy upewniają o tym...

Patrzyłem na chmury, przesuwające się ponad murami i na ruiny świątyni i okolicznych domów. Pyszne w swoim bogactwie Niemcy legły zwyciężone. Chciały Polsce zabrać Gdańsk, straciły wszystko. Zaparły się wiary w Chrystusa, obrały sobie Hitlera. Wyrzekły się wiary, nadziei i miłości, wybrały nowe pogaństwo i rasizm. Same jadły i nie dały łaknącym i głodnym, a bezbronnych, chorych, kaleki niszczyły, paliły w krematoriach. Parafie gdańskie dopiero się organizują, kościoły ledwo powstają z gruzów, a już działa Caritas, już Arcypasterz diecezji sam osobiście zwiedza wszystkie szpitale, już odbywają się nabożeństwa dla chorych. Napis na kolumnie w jednej chwili nabrał życia, litery urosły do ogromu liter pisanych czasem przez samoloty na chmurach. W świetle myśli głoszonych przez św. Pawła spojrzałem na więzienia, obozy koncentracyjne, Oświęcim, Majdanek, Dachau. Wspomiałem bohaterską obronę Westerplatte. Patrzyłem na tych, co wśród gruzów Gdańska budują domy, świątynie, ratują bliźnich ze źródeł własnych miłosierdzia katolickiego w Polsce, czy z pomocy misji szwedzkiej przy parafii Najśw. Serca Jezusowego we Wrzeszczu. Jeszcze raz powoli odczytałem złote słowa: **„W Chrystusie Jezusa wiara działa przez miłość. — Teraz trwają wiara, nadzieja, miłość, z tych większa jest miłość. Byłem głodny a daliście mi jeść. Byłem chory a nawiedziliście mnie — dobrocią nakarmili, nie nienawiścą i śmiercią, życie mi daliście, podźwignęli do życia chorych i Polskę całą..."**

Przestałem czytać, bo zobaczyłem, że czytam to, czego nie ma na tablicy marmurowej, ale to, co jest wypisane na żywych, ludzkich katolickich, polskich sercach gdańszczan nowych, z Wilna, Lwowa, Warszawy i z różnych stron Polski i zagranicy tu przybyłych. Ufam, że budowanie ich będzie trwałe. Nie odrzucają jak hitlerowcy zrobili, tego fundamentu trwałości, o którym mówi napis na kolumnie w kościele Mariackim w Gdańsku. Odbudują kościół Mariacki. Maria, już nie za drewnianym przepierzeniem na uboczu, ale na miejscu sobie właściwym stanie jako Matka i Królowa narodu. W odbudowanych świątyniach Jezus będzie krzepił siły katolików do zupełnej odbudowy całej Polski.

To wyczytałem na kolumnie kościoła Mariackiego i tym dzielę się teraz z czytelnikami artykułu.

Morskie laboratorium Rybackie

Jedyna placówka naukowa nad polskim morzem, Morskie Laboratorium Rybackie w Gdyni, wraca do swego poważnego stanowiska w świecie naukowym. Wyniki badań polskich uczonych są obecnie wysyłane z tej placówki do Rady Międzynarodowej dla Badań Morza w Kopenhadze.

Najważniejszym zadaniem Laboratorium jest opracowanie naukowego programu rybołówstwa. Zatrudniając 10 wybitnych naukowców, Laboratorium posiada 3 działy: biologiczny, ichtiologiczny i technologii rybnej.

St. Ligoń

Melpomena w służbie polskości

Pierwsze teatry na Śląsku

Matki głosie — matki mowo,
Jak brzmisz mile i wzorowo,
Pierwsze słowo, co mnie tchnęło
Jakże słodkim dla mnie było.
Mowa, w którym je wydałem
Brzmieć mi będzie w życiu całem!
(Juliusz Ligoń — „Ojczysta mowa")

Przytoczone rymy śląskiego poety są wymownym świadectwem jak bardzo miłowano na Ziemi Piastów język ojczysty.

I tak było istotnie, zawsze, od niepamiętnych czasów. Miłował lud śląski swoją piękną, staropolską mowę — bolał wielce, kiedy się przyglądać musiał, jak mu ten jego największy skarb zniekształcał i germanizmami zaśmiecał pruski „Kulturtraeger". Gorszył się i zżymał, gdyń dziecku jego narzucano w szkole, jemu zaś w urzędzie i pracy, tasiemcową terminologię, coraz to innych, dziwacznych nazwań i określeń wszystkiego, co go w jego codziennym życiu otaczało, — nakazując mu pod rygorem posługiwać się tymi terminami.

Nie dziw tedy, że z biegiem czasu wytworzyć się musiały obrzydliwe i cudackie tzw. „ausdruki", które ze strony ich twórców podwójny miały osiągnąć cel. Pierwszym z nich to obrzydzanie Ślązakowi jego ojczystej mowy przez systematyczne jej ośmieszanie — zaś w drugim przypadku, usiłowano stworzyć tani na zewnątrz argument, że język, którym się posługuje lud śląski nie ma nic wspólnego z polską mową, że jest on raczej nieudolnym jej zlepkiem, inaczej żargonem, wprowadzonym systematycznie i złośliwie na Śląsk przez wielkopolskich agitatorów.

Ślązaków nazywano pogardliwie „wasserpolakami" — a mowę ich określano jako „wasserpolakische Quaselei".

Ponieważ tej iście „niedźwiedziej" argumentacji przewrotnego Prusaka zadawał kłam dźwięczny, nieskażony, archaiczny język Reja i Kochanowskiego, jakiego od pokoleń używał także lud śląski, zwłaszcza w swoich rzewnych rozmowach z Bogiem, w pieśniach na Jego cześć śpiewanych wreszcie także w zwyczajach i bogatej swej obrzędowości — postanowiono krótko i węzłowato, przy użyciu wypróbowanych metod Bismarcka — wyrugować i wytępić wszystko, co ludowi jego polskość i jego rodową przynależność przypominało. Wiemy z licznych publikacyj oraz i własnych przeżyć, jak się to tzw. „ausrotten" w praktyce odbywało.

Po pierwsze zakazano wszelkich obchodów, jakie związane były z życiem śląskiego ludu i jeog zwyczajami; nawet w odniesieniu do świąt bożych. I tak zabroniono dziatwie polskiej w okresie Bożego Narodzenia (zw. Godami), obchodzenia domów z tradycyjną „betlejką" (szopką) nie wyłączając „kolędników", symbolizujących Trzech Królów, Herodów, aniołków, diabłów, gwiazdorów i inne persony pastorałkowego scenariusza, zaś w czasie wielkanocnym nie wolno było śląskim dziewojom obnosić po wioskach „marzanny" ani też szwarnego, radosnego „goika". Zapominać musiano pod naciskiem władzy policyjnej — pięknych uroczystości dożynkowych, zwanych „żniwiokiem". Zanikały też stopniowo rzewne i pełne fantazji zwyczaje i obrzędy wesel śląskich. Piękny strój śląski wędrował do skrzyń, skazany na zagładę. Polskiej książki ani też gazety nie dopuszczano do rąk ludu, zresztą nie mógł ich nawet nabyć robotnik polski, marnie za swoją ciężką pracę wynagradzany.

Jedynymi bastionami, jakie pozostały, a w których jeszcze nierozdzielnie panował duch polski i język — były: kościół i dom rodzinny. Wprawdzie dobijał się i tam pruski taran germanizacyjny, usiłując zwłaszcza z przybytku Bożego wyrugować niebezpieczny język ludu. Wiadomo przecie, jak to podczas osławionego „Kulturkampfu" z śląskich parafii masowo wysiedlano w głąb Niemiec księży po pokku czujących, zaś na ich miejsca sprowadzono stamtąd zaprzańców i germanizatorów, którzy za pomocą ambony i konfesjonału — mieli śląskiego Polaka przerobić na dobrego Niemca.

Wojnę z kościołem, mimo wyrafinowanych, machiawelskich sposobów — przegrał sromotnie rząd Bismarcka, a przegrać ją musiał z tej prostej przyczyny, że kościół Boży na Śląsku stał od wieków na fundamentach serc swojego wiernego ludu polskiego — czyli na takiej, jak mówi Pismo Św. opoce — której nie zwyciężą żadne siły piekielne.

Do domu rodzinnego — duch pruski nigdy sobie dostępu nie wywalczył. Strzegła go Matka-Polka nieczuła na wszelkie nęcące pokusy i obiecanki zakapturzonego krzyżaka. Wolała raczej znosić niedostatek, biedę i upokorzenia, aniżeli wydać swoje dzieci na zagładę pruskiemu wilkowi.

Ona to — ta nasza droga Mamulka — uczyła nas polskiego pacierza, ona zaznajamiała nas z polskim „ślabikorzem" — ona prawdą rozświetlała nasze młode dusze i ona mocnymi, mądrymi słowy prostowała kłamstwa i oszczerstwa odnośnie Polski i Polaków — jakimi w szkole zatruwał nam serca pruski „rechtór".

W domu rodzinnym, gdzie stale rozbrzmiewały prześliczne, staropolskie Godzinki — Gorzkie żale i te dziesiątki najpiękniejszych kolęd oraz innych pieśni przygodnych, nauczyliśmy się rozumieć, czym jest polski śpiew i zawarte w nim słowa.

To, czego zabraniał na zewnątrz pruski policjant, co pomieszał i zohydzał w szkole niemieckiej nauczyciel — tego uczyli w domu rodzice, nakazując i przypominając stale — byśmy wszystko co nasze, ojczyste miłowali, cenili, szanowali i nie oddali wrogowi — nawet za cenę własnego życia.

To było wiano, którym obdarzali nas ojcowie, kiedy przychodziło pożegnać kochany i tak nam bardzo drogi dom rodzinny.

Pierwsze przedstawienie

Jeśli może zbyt obszernie wypadł wstęp do gawędy „O śląskich teatrach", za złe mi tego proszę nie poczytać. Uważam za konieczne zaznajomić swoich młodszych ziomków z tym odcinkiem naszych dziejów, który był daleko za nimi i którego trudów nie przeżywali, ani krzywdy jego nie zaznali.

Zanim przystąpię do zobrazowania działalności śląskich teatrów ludowych sprzed doby naszego wyzwolenia, chciałbym w skrócie naszkicować czytelnikowi tło oraz okoliczności, w jakich pierwszy teatr powstał oraz jaki był jego dorobek w tych czasach, kiedy na ziemi naszej panoszył się wszechwładny Prusak.

Zalążek pierwszego teatru ludowego powstał w Królewskiej Hucie a dzisiejszym Chorzowie. Zaś pierwszym polskim zrzeszeniem, które się w tym mieście zawiązało i przy którym ujrzał światło naftowych kinkietów teatr — było „Kółko Towarzyskie". Nazwa ta niezbyt efektowna i mało mówiąca — rozczaruje czytelnika — ale cóż na inną nie chciał się wówczas zgodzić pruski „Polizeidirektor".

Niezwykłe to wydarzenie w życiu Górnego Śląska przypadło w okresie, kiedy po bankructwie polityki bismarckowskiej i zlikwidowaniu przez Wilhelma II „żelaznego kanclerza", wraz z jego osławionym „Kulturkampfem", zelżał równocześnie i kurs antypolski.

Wiarusów światłych, poważnych i przedsiębiorczych spora już wtedy była gromada w Chorzowie, toteż orzeźwieni wolnościowym wiaterkiem, jaki dąć zaczął z Berlina — z zapałem zabrali się do polskiej roboty. Kółko Towarzyskie narastało stale w nowych członków. Z Poznania, Warszawy, Krakowa napływać zaczęły polskie czasopisma oraz książki, które literalnie wydzierano sobie z rąk. Jakże też mogło dziać się inaczej, przecież wygłodzili się Ślązacy „za pięknom polskom strawom duchowom — bez tyla długich lot czekali na niom..."

Na często zwoływanych zebraniach Kółka promieniowała wiedza i nauka. Szereg osób zasłużonych jak: dr Franciszek Chłapowski, dr Wojciech Brodziak, bracia Przyniczyńscy, księża: Radziejewski, Łukaszczyk, Stablik, Damrot, następnie Stalmach, Karol Miarka, Juliusz Ligoń i wielu jeszcze innych wygłaszało przemówienia, odczyty i prelekcje. Zaznajamiano słuchaczy z dziejami Kościoła, Polski, Śląska oraz z olbrzymim dorobkiem polskiego piśmiennictwa. Uczono piękna polskiej mowy w poezji i prozie.

Mimo tego dużego zakresu działania, ciągle jeszcze czegoś brakowało ruchliwemu zarządowi. Myślano i radzono, czym by jeszcze uradować serca Polaków. I wymyślono. Na jednym z posiedzeń powstał projekt urządzenia teatru. Salę ze sceną przezornie sobie zapewniono, aktorów było z czego wybrać. Jedyną trudnością był brak scenicznych utworów... Ale i tu sobie poradzono. W gronie członków Kółka zasiadali przecież znani już wtedy pisarze, jak Miarka i Ligoń — niech też oni coś na poczekaniu napiszą. No i napisali. Miarka wniósł zaniedługo wesołą komedyjkę pt. „Stawka", Ligoń przedłożył dwa melodramaty, zatytułowane: „Los sieroty" i „Dobry syn". Na pierwszy ogień poszedł ostatni z wymienionych utworów. Po sumiennym przygotowaniu spektaklu nadszedł oczekiwany dzień premiery. Olbrzymia sala zapełniła się po brzegi widzami. Na widowni panował podniosły nastrój, na scenie natomiast — niesamowita „trema". Wreszcie dzwonek... I kurtyna poszła w górę... Zdumieli się widzowie i radość ogarnęła ich serca. Z błyszczącymi oczyma i zapartym oddechem śledzili akcję sztuki, podziwiali umiejętność domorosłych aktorów i rozkoszowali się pięknem swojego ojczystego języka.

Jak głęboko działał wówczas realizm widowiska na wyobraźnię widza, niech zaświadczy zabawny epizod, który się w trakcie tego pierwszego przedstawienia wydarzył. Otóż w pierwszych rzędach krzeseł, tak zwanych honorowych, siedział także między innymi autor sztuki — a przy nim, jak się należało, jego dostojna małżonka, która była matką mojego ojca, grającego w sztuce rolę dobrego syna. W pewnej dramatycznej chwili widowiska, kiedy to zgraja opryszków napada podstępnie bohatera sztuki, usiłując wziąć go w dyby — biedna moja starka nie wytrzymała nerwowo tej sceny, zatracając całkowicie poczucie rzeczywistości. Zerwała się na równe nogi, podeszła do rampy i podnosząc piąstkę w kierunku oprawców, zawołała gromkim głosem: „Nie szarpcie mi tak tego dziecka — chachary dioseckie!"

Epizod ten, nie objęty scenariuszem — wywołał, rzecz prosta, sponiczną wesołość na widowni, z wyjątkiem autora sztuki, który temperamentem swej ślubnej połowicy w tak nieodpowiednim miejscu wielce był zgorszony. Ale cóż — takie już wtedy były nasze mamulki kochane.

Koniec końcem, dość powiedzieć, że pierwsze to przedstawienie pierwszego na Śląsku teatru wypadło niespodziewanie imponująco. Publiczność szalała z radości, oklaskom i bisom nie było końca. Nawet srogi policjant grający na widowni rolę stróża pruskiego ładu i porządku — zapomniał o swej godności, walił łapami spowitymi w białe rękawice brawo — aż się rozlegało.

W niewoli Melpomeny

I tak od tej chwili począwszy, poszedł Ślązak w niewolę Melpomeny. Teatr stał się już dla niego potrzebą życia. Coraz częściej widniały na słupach ogłoszeniowych miasta polskie afisze, zapowiadające coraz to nowe widowiska: „Błażek opętany" — „Chłopi-arystokraci" — „Łobzowianie" — „Gwiazdka Syberii" — „Majster i czeladnik" — „Genowefa" — „Karpaccy górale" — „Czartowska ława" — „Stary piechur i syn jego huzar" — i wiele innych, jakich nie sposób wyliczyć, a które przez lata krzepiły serca i umilały pracującemu Ślązakowi jego twardy i ciężki żywot.

Rozumie się, że niedługo w ślad za Chorzowem poszedł Bytom, za Bytomiem Gliwice, Pszczyna, Rybnik i wiele innych miejscowości. W każdym z nich powstawały stowarzyszenia polskie o różnorakich nazwach i założeniach ideowych, a przy każdym z nich było też i kółko teatralne. Doborowy repertuar wartościowych sztuk, wychodzących z druku w innych dzielnicach polskich, nasycał duże zapotrzebowanie rynku teatralnego. Wdzięczna praca teatralna dawała zarówno wykonawcom, jak i licznym słuchaczom tych spektaklów, nie tylko godziwą rozrywkę, ale kształciła równocześnie umysły i serca, uczyła obyczajowości, zbliżała między sobą dzielnice, a nade wszystko pogłębiała miłość do ojczystej mowy i rugowała z niej te właśnie naleciałości germańskie — jakimi ją podstępny „Kulturträger" skaził.

W tym miejscu zapyta czytelnik: — No, dobrze, ale cóż na to wszystko mówił zaborca i jego żandarmi? Widać z tego, że nie był on tak bardzo zły, kiedy w takiej rozciągłości przyznawał Polakom swobodę dla ich kulturalnych potrzeb.

Tak niestety, nie było. Walka z polskością nie ustała, zmienił się jedynie jej system. Wprawdzie nowe ustawy były liberalniejsze w stosunku do tzw. mniejszości narodowych, wchodzących w skład państwa niemieckiego, niezależnie jednak od tego, zamierzenia germanizacyjne, zwłaszcza w stosunku do Polaków — pozostały te same.

I tak wszystkie bez wyjątku stowarzyszenia polskie znajdowały się pod stałym nadzorem policji politycznej. Wszelkie zebrania, obchody, występy chórów, tudzież przedstawienia teatralne, które nosiły charakter publiczny, musiały każdorazowo uzyskać zezwolenie wymienionej władzy. Rozumie się, że wynajdywała ona krocie najrozmaitszych zastrzeżeń, przeszkód i wybiegów — by je paraliżować. I tak w pierwszym rzędzie wywierano nacisk na właścicieli lokalów widowiskowych, sal oraz ogródków, by ich za żadną cenę nie wydzierżawiali Polakom — zaś tych, którzy tego rodzaju nakazów nie respektowali, szykanowano i nie szczędzono im dotkliwych kar pieniężnych. Na robotnika polskiego naciskał jego chlebodawca, inaczej kapitalista niemiecki, za pośrednictwem swojego urzędnika Niemca, opornym groził wydaleniem z pracy, albo też przydzielał im zajęcie w cięższych i niebezpiecznych warunkach, przy znacznie gorszych zarobkach. Odmawiano też wszelkich świadczeń na rzecz rodziny, jednym słowem — wynajdywano moc sposobów, by robotnika od polskiego stowarzyszenia odstraszyć.

Jedno w tej niszczycielskiej polityce było pocieszające, że osiągano nią wręcz przeciwny skutek. Lud śląski w tej nieustannej walce o swój byt narodowy stężał i nie ustępował wrogowi. Świadom swojej siły i mając w Berlinie wybranych przez siebie posłów, protestował głośno przeciw wszelkim gwałtom i dopominał się swoich praw.

I nadszedł dzień sprawiedliwości dziejowej. Po wielkiej wojnie — w narzuconym mu plebiscycie, mimo że i tu zaborca pruski podstępem, fałszerstwem, przekupstwem i terrorem usiłował unicestwić ludowi śląskiemu dążność jego do wyzwolenia — lud ten w głosowaniu olbrzymią większością wypowiedział swoją wolę mocnymi słowami: Pol-

A kiedy mimo to czynnik międzynarodowy, sugerowany krętactwem niemieckich dyplomatów, ogłosił nieprawiedliwy podział ziemi górnośląskiej — lud po raz trzeci zerwał się do powstania i orężem w krwawych bojach — wywalczył sobie to, co mu się słusznie należało.

W pamiętnym dniu 22 czerwca 1922 r., wśród niebywałego entuzjazmu ludności, wkroczyło na Śląsk polskie wojsko, a równocześnie z nim weszła w majestacie Rzeczpospolita Polska. Odtąd już zapanowało na tej ziemi prawo, wszystkie urzędy objęła polska administracja, zaczęły swą błogą działalność oświatową i wychowawczą polskie szkoły, zajaśniała w blasku polska nauka i sztuka.

Teatr już prawdziwy

Zawitał również teatr polski, nie ten ubożuchny, amatorski, ale prawdziwy, zawodowy, z doskonałą operą, dramatem, świetnym baletem wraz z dużym zespołem znakomitych artystów. Objął w posiadanie gmach, który wystawił w Katowicach butny Prusak kosztem krwawiącego polskiego robotnika. A w jakim celu, niech powiedzą następujące fakty.

Na froncie tego „Theaterhausu" u jego szczytu, po bokach tzw. Attyki, ustawiono jakieś dwie olbrzymie, nieforemne bryły, które przedstawiały kłębowisko ludzkich ciał, zwartych z sobą w śmiertelnym boju, ręce wymachujące kolczastymi maczugami, toporami, dzidami, godziły w przeciwnika... Sensem tego rzeźbiarskiego „rebusu" — iście pojętego po prusku, była walka Germanów ze Słowianami — inaczej Polakami... Poniżej, jako uzupełnienie tego arcydzieła, widniał na całą szerokość fasady wykuty w kamieniu i lśniący fałszywą pozłotą niemiecki napis: „Deutschem Wort — Deutscher Art" (Niemieckiemu słowu — niemieckiej sztuce).

Rzecz prosta, że „ozdóbek" tych nie można wziąć za złe ani inicjatorom gmachu, ani też jego wykonawcom — dali z siebie to — na co ich stać było...

Ciekawym jednak dla nas dokumentem, koronującym powstanie tego przybytku niemieckiej kultury i jego zadań — jest przemówienie ówczesnego burmistrza Katowic, dra Pohlmanna, wygłoszone w czasie uroczystości otwarcia wymienionego gmachu. Złożył on wtedy imieniem miasta bombastyczne ślubowanie, że dopóki w tym mieście bić będzie chociażby jedno tylko serce niemieckie — nigdy na tej scenie nie zabrzmi mowa polska.

Jak już wiemy, proroctwo pana „Bürgermeistra" się nie spełniło. Z mocy wyroków Bożych — stało się — że polskie słowo ojczyste, z tej ziemi poczęte, jednak zabrzmiało w tym gmachu, a z nim zabrzmiał potężny polski śpiew w narodowej — nieśmiertelnej „Halce" Moniuszki. Operą tą Teatr Polski zapoczątkował na Śląsku swoją artystyczną pracę.

Kilkunastoletnia jego działalność w Katowicach była bez przesady olbrzymia. By ją zobrazować, nie wystarczą szczupłe ramy niniejszej gawędy. A że znaną jest ona powszechnie, zna ją również i docenia rodak mój ze Śląska, ograniczę się jedynie do podsumowania jej dorobku.

Bilans 17 lat

Nietrudno będzie sobie wyobrazić, ile w tych siedemnastu latach, inaczej sezonach teatralnych, poprzez deski katowickiej sceny przesunąć się musiało przedstawień i różnych imprez artystycznych. W przebogatym repertuarze sztuk przodowały utwory polskie, zarówno z dziedziny muzycznej, jak i dramatu. Wystawiono arcydzieła największych mistrzów słowa, jak: Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego, Fredry i wielu innych. Często role kreowali w nich najwybitniejsi artyści polskiej sceny, których dyrekcja zapraszała do Katowic na gościnne występy. Wśród śląskich utworów scenicznych wystawiono także Jana Nikodema Jaronia: „Konrada Kędzierzawego" oraz St. Ligonia widowisko regionalne „Wesele na Górnym Śląsku", które doczekało się ponad dwieście przedstawień.

Osobny dział stanowiły bardzo popularne przedstawienia dla młodzieży szkolnej, organizowane z wielką pieczołowitością i przy udziale czynnika pedagogicznego.

Również robotnikowi udostępniono w bardzo szerokiej mierze korzystanie z przedstawień teatru polskiego w Katowicach. Na tym odcinku duże zasługi położył długoletni jego dyrektor, p. Marian Sobański, który na terenie wielkiego przemysłu zorganizował tzw. przedstawienia seryjne dla pracujących mas. Rzecz polegała na tym, że zarządy polskich koncernów wykupywały całe spektakle dla swoich załóg, tj. tych robotników, którzy dobrowolnie z danego przedstawienia korzystać zamierzali. Należność za opłaty nie stanowiły wielkiego uszczerbku w budżecie robotnika, za to dawały mu olbrzymie korzyści tak rozrywkowe, jak i dydaktyczne. Rozumiał światły robotnik śląski i uczęszczał chętnie na te swoje przedstawienia.

Prócz tego dawał teatr w czasie kryzysu gospodarczego stale bezpłatne przedstawienia dla bezrobotnych.

Tak, zaprawdę, wielkie są zasługi Teatru Polskiego na Śląsku, ale największą z nich stanowi fakt, że nie ograniczył on swojej działalności jedynie na miasto, w którym stałą miał siedzibę, lecz objeżdżał teren całego województwa — nie wyłączając części, znajdującej się po stronie niemieckiej, niosąc wszędzie polskie słowo, polską muzykę i śpiew.

Jako jeden z współpracowników Teatru Polskiego i ten, któremu powierzono organizację Związku Śląskich Teatrów Ludowych oraz jego kierownictwo — miałem podczas częstych swoich objazdów w terenie wiele sposobności do zaobserwowania, jak olbrzymi był zasięg żywego polskiego słowa i jego działanie, zwłaszcza wśród rodaków — którzy z wyroków niesprawiedliwego losu pozostać musieli pod Niemcem.

Obok tego wszystkiego doczekały się uznania i teatry ludowe, te teatry, które z wielkim trudem i mozołem powstawały do życia na Śląsku. Zorganizowany Związek Śląskich Teatrów Ludowych zrzeszał setki amatorskich kół Śląska i nadawał odpowiedni kierunek tej dziedzinie pracy oświatowej. Kształcono reżyserów, ogłaszano konkursy sztuk teatralnych, urządzano imprezy narodowe i ludowe widowiska. Budowano i pogłębiano wśród społeczności śląskiej zamiłowanie do własnej a tak skrzętnie przez wroga tępionej kultury ludowej.

Taki jest w skrócie bilans pracy teatrów na Śląsku i ich nieprzeciętnego dorobku. Zarazem jest on świadectwem niespożytych sił moralnych i umysłowych, tkwiących w ludzie śląskim.

Duży ten wysiłek i piękny dorobek materialny zniszczyła wprawdzie wojna i mściwy okupant pruski — który ją rozpętał. Nie zniszczył jednak tego, co tkwi głęboko w sercach ludu śląskiego, to jest przywiązania do języka ojców i umiłowania piękna, które stworzył nieśmiertelny geniusz Narodu Polskiego.

Nauka podpatruje naturę

Nietoperze pierwsze posługiwały się systemem radarowym

Z całego szeregu broni tajnych, rozwiniętych w czasie ostatniej wojny, na pierwsze miejsce bezsprzecznie wysuwa się przyrząd umożliwiający umiejscawianie obiektów za pomocą fal elektromagnetycznych, innymi słowy — radar. Rola, jaką przyrząd ten odgrywa obecnie w lotnictwie cywilnym, w komunikacji morskiej, jak i w wielu innych dziedzinach, jest powodem, że szerokie rzesze interesują się coraz żywiej tymi problemami. Z tego też względu sądzimy, że wywody poniższe spotkają się z przychylnym przyjęciem naszych czytelników, gdyż wykazują one niezbicie, że idea radaru, jak zresztą i wielu innych wynalazków, zaczerpniętą została z natury. W przypadku radaru zachodzi tylko ta różnica, że fale elektromagnetyczne zastąpione zostały w naturze falami ultradźwiękowymi.

Do wyjaśnionych w ostatnich dopiero latach cudów natury należy lot nietoperzy. Lecąc o zmroku lub nocą, zwierzęta te omijają błyskawicznie wszystkie napotykane na drodze lotu przeszkody. Próby, jakie dokonywano z nietoperzami w zupełnie zaciemnionych ubikacjach, gdzie porozwieszano nitki z dzwonkami, wykazały, że nietoperze nie dotknęły podczas lotu ani jednej nitki, czy też dzwonka. Nie zdarzyło się również, by podczas prób dokonywanych przy świetle dziennym z przejrzystymi taflami szklanymi, któryś z nietoperzy dotknął tafli. Prawie że w ostatnim zawsze momencie nietoperz omijał taflę, wykonując przy tym często prawdziwe sztuki akrobatyczne. Przy tej sposobności zaobserwowano, że już w odległości 60 cm od przeszkody nietoperz zmieniał swój kierunek lotu, dokonując tego tak błyskawicznie, że dochodził prawie na 30 cm od przeszkody. Przy szybkości lotu 7 i 1/2 m na sekundę oraz czasokresu reakcji 1/10 sekundy, da się łatwo obliczyć, że nietoperz wyczuć musiał przeszkodę już z odległości 1,35 metra.

Wszelkie dokonywane poprzednio próby w celu wyjaśnienia tego zjawiska nie potrafiły wytłumaczyć przekonywająco zagadki lotu nietoperzy. Nie znalazło również uzasadnienia przypuszczenie, że nietoperz wyczuwa za pomocą swoich nader czułych skrzydeł odbijające się od przeszkody fale powietrza, wskazujące mu niebezpieczeństwo na trasie lotu.

W r. 1920 uczony angielski, Hartridge, ustanowił tezę, w myśl której nietoperze wydają nieuchwytne dla ucha ludzkiego dźwięki, które odbite od przeszkody, chwytane są przez nie jako echo ostrzegawcze. Słuszność tego poglądu potwierdzona została przez szereg uczonych, ostatnio zaś przez fizyka angielskiego, Th. Roddama, który w czasopiśmie „Wireless World" poświęca temu zagadnieniu wiele miejsca. Na podstawie przeprowadzonych eksperymentów stwierdzono, że nietoperze posługują się niejako własnym systemem radarowym, w którym zamiast fal elektromagnetycznych używają fal ultradźwiękowych.

Hartridge studiował przez szereg lat rodzaje dźwięków wydawanych przez nietoperze. Stwierdził on, iż poza pewnymi dźwiękami brzęczącymi o częstotliwości 12 do 60 Herztów, emitują nietoperze inne jeszcze dźwięki, których częstotliwość wynosi 7.000 Hertzów, za pomocą których prawdopodobnie porozumiewają się. Okres trwania tych dźwięków wynosi około 1/4 sekundy. Poza tym transmitują one ultradźwięki, których źródła emitowania nie można było dotychczas stwierdzić dokładnie. Dziś nie wiadomo jeszcze, czy wydawane są one za pomocą nosa czy też pyszczka. Ustalono jedynie, że są to regularnie następujące po sobie impulsy dźwiękowe trwające 1/1000 sekundy o średniej częstotliwości 40 do 50 Hertzów. Frekwencja ta obniża się czasami do 30, względnie wzrasta do 70 Hertzów. Gdy nietoperz spoczywa, transmituje około 5 — 10 impulsów na sekundę, podczas lotu zaś liczba impulsów wzrasta od 20 do 30, dochodząc chwilami do 60 impulsów na sekundę — zwłaszcza, gdy nietoperz znajduje się w bezpośredniej odległości od jakiejś przeszkody. Układ pyszczka nietoperza zdawałby się wskazywać na to, że fale ultradźwiękowe są przezeń transmitowane w kierunku prostym przed siebie, przy czym uszy, spełniające rolę jakby tuby odgłosowej, chwytają odbite od przeszkody impulsy dźwiękowe. Forma uszu umożliwia zwierzęciu zlokalizowanie przeszkody bez większych trudności. Z różnicy czasu między wysłaniem impulsu do chwili odbioru refleksu nietoperz może nadzwyczaj dokładnie ocenić odległość przeszkody. Przy normalnej frekwencji drgań 50 impulsów na sekundę nietoperz wyczuwa przeszkody na trasie swego lotu w odległości 3 metrów. Zmniejszona ilość emitowanych impulsów w stanie spoczynku ma na celu ostrzeżenie nietoperza już ze znacznej odległości przed ewent. zbliżającym się nieprzyjacielem.

Słuszność tezy Hartridge'a potwierdziły próby dokonane z nietoperzami, którym zatkano uszy nawoskowaną watą względnie ze zwierzętami chorującymi na zapalenie uszu. W tym wypadku nietoperze nie były w możności ominięcia przeszkód znajdujących się na trasie ich lotu.

System radarowy, jakim „dysponują" nietoperze, przywłaszczyła sobie już przed kilku laty technika, a mianowicie przy mierzeniu głębokości wód za pomocą sondowania. W tym wypadku z różnicy czasu między wysłaniem dźwięku a chwilą jego odbioru można określić dokładnie głębokość wód. W czasie ostatniej wojny sondy takie służyły początkowo do umiejscawiania zanurzonych łodzi podwodnych. W miarę rozwoju techniki fale ultradźwiękowe zostały przy końcu wojny zastąpione krótkimi falami elektromagnetycznymi, którymi posługujemy się przy urządzeniach radarowych. (K)

Nowy rekord lotu dla małych samolotów.

Dowódca etiopskiego lotnictwa, Szwed, hrabia Carl Gustaf von Rosen, ustalił na aparacie Saab-Safir, produkcji szwedzkiej, nowy rekord długości lotu dla małych samolotów, przebywając trasę 6.220 km z lotniska w Bromma koło Sztokholmu do Addis-Abeby, stolicy Etiopii, w czasie 30 godzin 52 min. Ponieważ najkrótsza odległość pomiędzy Sztokholmem i stolicą Etiopii wynosi 5.900 km, poprzedni rekord, ustalony przez F. A. Japy na trasie 5.010 km został pobity o ca 900 km. Aparat na którym dokonano przelotu był normalnym, seryjnym samolotem typu Saab-Safir, wykonanym jako szósty i ostatni z samolotów, dostarczonych lotnictwu etiopskiemu przez szwedzkie towarzystwo lotnicze Saab.

Przygotowania do lotu otoczone były tajemnicą i zaledwie kilka osób zebrało się na lotnisku Bromma, by być przy starcie do dalekiej podróży. Niemal całe wnętrze kadłuba, obliczonego na trzy miejsca, było wypełnione zbiornikami. 947 litrów benzyny i 45 litrów oliwy miało wystarczyć na 35 godzin lotu. Poza dodatkowymi zbiornikami i aparaturą, potrzebną przy lotach w nocy, aparat posiadał wyłącznie normalne, stałe wyposażenie w najpotrzebniejsze instrumenty i urządzenia.

Trasa prowadziła przez Wiedeń, Jugosławię, Morze Śródziemne, Wadi Halfa, Chartum. W 30 godz. 52 min. po starcie i w 18 minut wcześniej niż było przewidziane, Saab-Safir wylądował pomyślnie w Addis-Abebie. W zbiorniku pozostawało jeszcze 86 litrów benzyny, wystarczającej na 3 godziny lotu.

W pierwszej części trasy pogoda była piękna i warunki atmosferyczne sprzyjające. Ponad pustynią libijską samolot musiał przebijać się przez burzę piaskową. Ledwo ta przeszkoda została pokonana, gdy zerwała się gwałtowna burza tropikalna i aż do momentu wylądowania aparat leciał wśród błyskawic i grzmotów.

Saab-Safir jest samolotem trzyosobowym, wykonanym z metalu, o nisko umieszczonych skrzydłach, zaopatrzonym w motor de Havilland Gipsy Major o 130 CV. Ze swym litrażem o pojemności 6.124 ltr należy do klasy C2, to jest do klasy samolotów o pojemności cylindra od 4 do 6,5 litrów. Jego przeciętna szybkość wynosi 205 km/godz., a szybkość maksymalna 235 km/godz. Pięć innych bliźniaczych samolotów tego typu zostało dostarczonych Etiopii w końcu ubiegłego roku. Nowy rekord stanie się własnością tego kraju, ponieważ i pilot i aparat należą do abisyńskiego lotnictwa. (tł. i. s.)

Jules B. Billard

Joe Magarac - stalowy człowiek

z „Saturday Evening Post"

Tam, gdzie wznoszą się kominy stalowni, przecinające faliste linie wzgórz Monogahela w Pensylwanii, opowiada się niezliczone historie o chopaku, imieniem Joe Magarac. Joe był największym, najsilniejszym, najbardziej roześmianym chłopakiem, jaki kiedykolwiek ukazał się w tych okolicach. Plecy miał szerokie jak wrota, kark potężny jak u bawołu, a ręce tak wielkie jak szufle. Gdy się obnażył do mycia, można było podziwiać jego stalowe mięśnie, występujące na całym olbrzymim ciele wielkoluda, liczącego 7 stóp wzrostu. Joe Magarac był naprawdę stalowym człowiekiem. Był legendarnym bohaterem stalowni.

Magarac, to wyraz słowacki. Charakter i podłoże wszystkich opowiadań ma posmak węgierski i wśród obecnych robotników stalowni, pochodzenia węgierskiego, najłatwiej jest usłyszeć opowiadanie o Joem. Jako symbol Stali jest on ciągle sławny. Najlepiej znają go w hutach doliny Mononghela, gdzie Węgrzy i Słowianie żyją razem i gdzie zmieszały się ich obyczaje i język. Ale sława jego, podawana z ust do ust i z huty do huty biegnie wzdłuż rzek Allegheny i Ohio, sięga nawet wielkich terenów stalowni Youngstown i Chicago.

Dużo jest opowieści o Joem i o czynach jego opowiada się w różnych wersjach. Jeżeli znajdzie cie się w węgierskiej piwiarni w Pensylwanii, lub traficie do huty w czasie odpoczynku południowego — możecie usłyszeć o nim jakąś opowieść. Prawie wszystkie podają, że po raz pierwszy ujrzano Joe Magarac tego dnia, w którym Steve Mestrovich urządzał swe sławne przyjęcie ze śliwowicą.

Piękna córka Steve'a była nagrodą w zawodach mających się odbyć w Dolinie Mononghela. Wszyscy kawalerowie z hut okolicznych ubiegali się o jej rękę, ale tak ojciec, jak i córka nie mogli się zdecydować kogo wybrać. Wobec tego Steve zorganizował przyjęcie i zawody, w których zwycięzca miał otrzymać w nagrodę rękę pięknej Mary.

Nadszedł uroczysty dzień. Urządzono trybunę dla widzów i platformę, na której stała Mary. Młodzież przybyła ze wszystkich stron szykowała się, by zmierzyć swe siły przy podnoszeniu sztab stalowych, które przygotował dla nich Steve. Jedna z nich ważyła 350 funtów, druga 500 funtów, a trzecia tyle, co dwie pierwsze razem. Ale tylko trzech zawodników mogło się ubiegać o wzięcie udziału w tych ostatecznych zawodach, byli to: Pete Pussick, Eli Stanowski i jakiś cudzoziemiec z Johnstown. Eli zabrał się do największej sztaby i nie udało mu się; Pete, chociaż sympatia tłumu była po jego stronie, również nie mógł poruszyć sztaby. Obcy przybysz pociągnął śliwowicy, a potem zabrał się do sztaby, której jeden koniec poruszył się zlekka. Z ostatnich rzędów zebranego tłumu rozległ się śmiech i okrzyk: — „Ho - ho!"

Wszyscy się odwrócili. Z tłumu wystąpił największy chłop, jakiego Steve i Pete i wszyscy zebrani kiedykolwiek w życiu widzieli. Na oczach zebranego tłumu podniósł rozwścieczonego przybysza z Johnstown jedną ręką, a najcięższą sztabę — drugą.

Zaległa śmiertelna cisza. Wreszcie Steve Mestrowich odnalazł język w gębie i zapytał olbrzyma kim był i skąd tu się wziął.

— „Nazywam się Joe Magarac" — odparł ze śmiechem nieznajomy. Napięcie tłumu od razu zelżało. — „Magarac" znaczy po słowacku „osioł". Każdy rozumiał, że człowiek o takim nazwisku musi być o key. Dobrze jest nazywać się „Magarac".

— „Nie bójcie się" — ciągnął dalej Joe. — Urodziłem się wewnątrz góry rudy żelaznej, przyjechałem tutaj 20 lat temu pociągiem wiozącym rudę i od tej pory leżę pod kupą rudy koło hutniczego pieca. Dzisiaj wyszedłem, aby znaleźć pracę w stalowni. Co do Mary, to powinna wyjść zamąż za Pete'a. Widziałem, jak na niego patrzyła, gdy brał się do podnoszenia sztaby. A ja chcę tylko jeść i pracować".

Potem wziął sztabę w obie ręce, zgiął ją w pół i poszedł szukać majstra, aby go poprosić o pracę.

*

Czy istniał żywy człowiek, który stał się pierwowzorem Joe Magarac'a, czy też jest on może tylko wytworem bujnej fantazji? Jak się zaczęła i rozprzestrzeniła jego historia?

Nikt tego nie wie napewno. Miejsce powstania legendy można jednak z pewną dozą prawdopodobieństwa określić i umiejscowić gdzieś w hutach, nad brzegami rzeki Mononghala, około roku 1874.

W czasach, gdy po raz pierwszy opowiedziano tę bajkę, Ameryka miała wzrastające kłopoty. Sieci kolejowe rozciągały się coraz dalej, fabryki rozwijały, huty i stalownie wyrastały, jak grzyby po deszczu. Kraj potrzebował rąk ludzkich, toteż przemysłowcy importowali tysiące robotników z Europy. Przemysł stalowy sprowadził Walijczyków, Anglików, Węgrów, Polaków, Słowaków — ludzi najrozmaitszych narodowości.

Cudzoziemcy ci, osiedliwszy się w obcych dla siebie warunkach, uczyli się odosobnieni wśród amerykańskich obyczajów i sposobu życia, które trudno im było zrozumieć. Robotnicy węgierscy wymyślili więc postać Joe Magarac'a, który był ucieleśnieniem ich przekonania, że najlepszym robotnikiem stalowni jest Węgier

Jeśli Joe Magarac miał jakiś żywy pierwowzór, musiał to być człowiek olbrzym. Mówią o nim, że miał 7 stóp wzrostu i pracował w hucie na brzegu rzeki Mononghela, około r. 1870. Nazywał się William Wiehe i był przewodniczącym związku stalowców. Był niebywale silny i opowiadają, że kiedyś pchał sam jeden wózek załadowany sztabami stali.

Lecz same wymiary i siła nie byłyby dostatecznym bodźcem, aby stworzyć legendarnego bohatera. To musiał być także ktoś, kto był „wielkim stalowcem". Takim człowiekiem był kpt. Bill Jones, oficer w Wojnie Domowej i przodownik hutniczy, kótry został intendentem Carnegie'go, kiedy rozpoczęto budowę zakładów Edgara Thomsona w roku 1874. W tej to fabryce, jednej z wielu należących obecnie do Związku Stalowni Stanów Zjednoczonych, możemy znaleźć najwęicej Węgrów, którzy znają legendę o Joe Magarac'u.

Chociaż Joe Magarac był bohaterem z bajki, jednak nie mógł żyć wiecznie. Zmarł, kąpiąc się w roztopionej stali.

Było to w roku Strasznych Czasów. Na hucie Joe Magarac'a kierownik oznajmił, że fabryka będzie na krótki czas zamknięta i prosił Wielkiego Joe'a, aby zrobił mały ogień na otwartym palenisku.

Wydawało się, jakby Joe chciał coś odpowiedzieć, ale się powstrzymał i kierownik myśląc, że wszystko jest w porządku, odszedł. W dniu, gdy przerwa w robocie się skończyła, robotnicy wrócili do huty. Nigdzie nie było widać Joe Magarac'a, chociaż szukano go wszędzie.

Wyznaczono innego człowieka do pieca, a gdy był już na swoim stanowisku, kierownik wyszedł na platformę, aby zobaczyć jaką stal otrzymano przy niskim ogniu. Stojąc przy załadowanym sztabami pociągu usłyszał dobrze sobie znany, roześmiany głos, który go zapytał: „— No i jakżesz on teraz wygląda?"

Kierownik rozejrzał się wokoło, lecz nie dojrzał nikogo.

Głos odezwał się znowu: — „To ja, Joe Magarac. Siedzę w stopie".

Siedział tam istotnie, zanurzony po szyję, gorące pęcherzyki stali perliły się wokoło niego. „Joe, co ty tam robisz?" zapytał kierownik — „Wyłaź czym prędzej, bo się stopisz!".

Joe Magarac przymrużył jedno oko i roześmiał się. Potem wygłosił swą mowę pożegnalną. — „To ślicznie! Właśnie to — czego pragnę! Nie lubię zatrzymywania fabryki, brak pracy łamie mi serce. Słyszę, że mówią, iż te złe czasy nie potrwają długo i wkrótce huty i nowowybudowane stalownie pokryją cały kraj. Tak sobie myślę, że jeżeli ja, który urodziłem się w górze rudy i jestem ze stali, stopię się — stanę się wtedy częścią tej stali, z której powstaną nowe fabryki i w ten sposób będę pracował stale i zawsze. Toteż skoczyłem do tej kąpieli". Z tymi słowy Joe Magarac zanurzył się we wrzącej stali powyżej brody i siedział tam tak długo, dopóki nie stopił się zupełnie.

Gdy ochłodzono stop i pocięto go okazało się, że tak doskonałej stali jeszcze nigdy nie otrzymano; była gładka i równa, bez rys i szczelin. Tak, jak im Wielki Joe powiedział, zrobili z niej belki i kątowniki i tryby i wysłali je do wszystkich nowych hut, będących w budowie i do tych, które przebudowywano. Tam to znajduje się dzisiaj Joe Magarac.

„USIS"

Izotopy

Istniało do niedawna przekonanie, że wszystkie atomy jednego pierwiastka są zupełnie identyczne. Obecnie wiemy, że prawie wszystkie pierwiastki chemiczne występują w kilku odmianach, o jednakowych własnościach chemicznych, ale innym ciężarze atomowym. Odmiany te są to właśnie tzw. „izotopy".

W przyrodzie spotyka się atomy węgla o ciężarze 12, ale można także otrzymać odmianę o ciężarze 13, oraz węgiel radioaktywny o ciężarze atomowym 14. Ponieważ izotopy jednego pierwiastka są idealnie podobne do siebie pod względem własności chemicznych, ale pozwalają się rozpoznawać po różnym ciężarze atomowym, są więc doskonałym środkiem do badania przebiegu reakcji chemicznych, zachodzących w organizmach żywych. Jako przykład może posłużyć następujące doświadczenie:

Substancją, która zabarwia krew wszystkich zwierząt ssących na czerwono, jest hemoglobina. Hemoglobina posiada skomplikowany skład chemiczny: zawiera węgiel, wodór, azot, tlen i żelazo, spełnia ważną rolę wprowadzania tlenu do krwi i rozprowadzania go po całym organiźmie. Ciekawe będzie zbadanie, w jaki sposób organizm wytwarza hemoglobinę z substancji, znajdujących się w pokarmie. Przy pomocy „izotopów" doświadczenie takie daje się łatwo przeprowadzić.

Przygotowujemy odpowiedni związek chemiczny, zawierający np. izotop azotu. Związek ten, razem z pożywieniem, wprowadza się do organizmu zwierzęcia doświadczalnego. Po odpowiednim czasie pobiera się próbkę krwi zwierzęcia i bada, czy izotop azotu znajduje się w hemoglobinie. Jeżeli obserwowany izotop zawarty jest w hemoglobinie, to znaczy, że została ona wytworzona właśnie z tego związku, który wprowadziliśmy. W podobny sposób, używając izotopu węgla, przekonamy się, że węgiel do budowy hemoglobiny czerpie organizm z kwasu octowego, wytwarzanego przez organizm lub pobieranego z pożywienia.

Metoda opisana pozwala łatwo i dokładnie zbadać przebieg wszelkich reakcji, zachodzących w żywych organizmach. Poza izotopami wodoru, tlenu, węgla i azotu, zastosowanie znajdują izotopy wapna i fosforu, pierwiastków, znajdujących się w niej w dużej ilości w kościach, oraz siarki, która odgrywa poważną rolę w wielu procesach biologicznych i ma szczególne znaczenie dla wzrostu. Izotopy jodu pozwalają badać działalność gruczołu tarczycowego, izotopy żelaza mogą wyjaśnić przemiany, zachodzące we krwi.

Badania tego typu prowadzone są stosunkowo niedawno i możliwości, które dają biologom, są jeszcze prawie zupełnie nie wykorzystane. Trudnością natury praktycznej, jest otrzymanie izotopów odpowiednich pierwiastków w dostatecznych ilościach. Niektóre izotopy, np. azotu i węgla, są już produkowane handlowo w Stanach Zjednoczonych. Również od paru lat produkuje się w specjalnych zakładach ciężki wodór. Większość jednak innych izotopów jest dotychczas trudna do uzyskania i to hamuje postęp prowadzonych badań. Na razie musimy zadowolić się skromniejszym tempem prac, do czasu, kiedy technika będzie w stanie dostarczyć wszystkich potrzebnych substancji w dostatecznych ilościach. Jednak już dziś możemy mieć prawie pewność, że opisana metoda, jak również wiele innych, równoległe stosowanych, przyczyni się poważnie do rozszerzenia wiedzy o człowieku i pozwoli wyeliminować choroby z naszego życia.

Perspektywy te wyglądają na razie nieco fantastycznie, jednak nauka na pewno osiągnie kiedyś taki poziom, że potrafi wyjaśnić tajemnicze zjawiska życia i dać człowiekowi prawdziwą władzę nad sobą samym. *Pias.*

Rozrywki umysłowe

49 Konkurs Rozrywkowy

Część trzecia

6. REBUS — 6 PKT.
(ul. Teka)

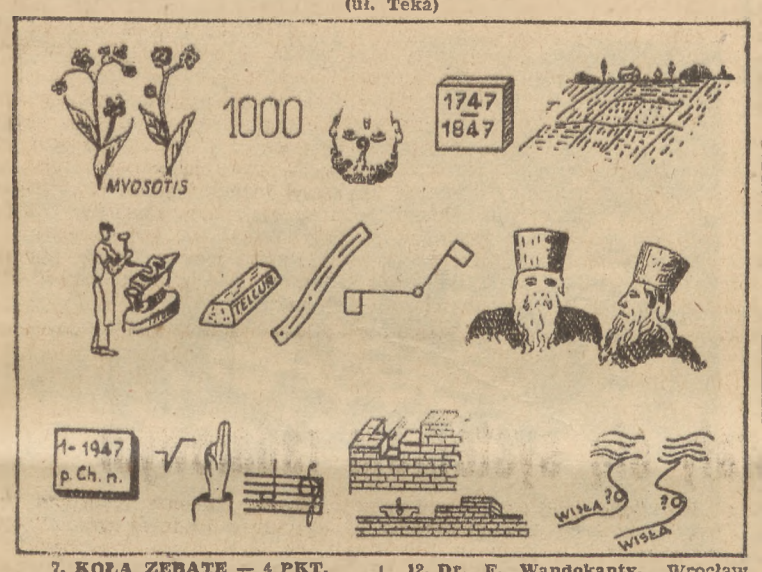

7. KOŁA ZĘBATE — 4 PKT.
(ul. mgr Zięba)

Z dwóch zazębiających się kół pierwsze posiada 80, a drugie 12 zębów. Koło duże jest nieruchome, koło małe toczy się po jego obwodzie. Ile obrotów wykonać musi koło mniejsze, aby znaleźć się w pierwotnym położeniu?

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań powyższych zadań 18 lipca o godz. 12.

* * *

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR 22 „ŚWIAT I ŻYCIE"

16. Wysuwanka:

Miasto Niepokonane — Brandys
Sprawy Polaków — Osmańczyk
Porwanie w Tiutiurlistanie — Żukrowski
Upadek Paryża — Ehrenburg
Zazdrość i Medycyna — Choromański,
Nowa Miłość — Iwaszkiewicz
Ład Serca — Andrzejewski
Nauczyciele — Łukasiewicz
Pod Smaganiem Samumu — Ossendowski.
Rozwiązanie ostateczne: BOŻE CIAŁO

17. Telegram szyfrowany:

Spółgłoski szyfrowe kolejno: T M P J K W, samogłoski szyfrowe: o e u a.

Odszyfrowany telegram posiada następujące brzmienie: „Akcje bawełny gwałtownie zniżkują. Mam pewność, że w najbliższym czasie będą zwyżkować. Zakupiłem akcyj za dwieście tysięcy dolarów. James".

* * *

Rozstrzygnięcie 48 Wielkiego Konkursu i Turnieju Rozrywkowego

Dnia 27 czerwca o godz. 12 przystąpiono do obliczania wyników 48 Wielkiego Konkursu i Turnieju Rozrywkowego. Tylko 4 osoby nadesłały rozwiązania wszystkich zadań konkursu — czytelnicy ci otrzymują nagrody za najlepsze wyniki: Kruczkowskiego „Pawie Pióra: Są to:

1. Z. Czaplicki Katowice, 2. Mgr A. Grzyb Żywiec, 3. K. Ligocka Katowice, 4. M. Sołtykowska Mysłowice.

Po obliczeniu punktów pozostałych uczestników Konkursu, okazało się, że największą ilość mają poniżej nagrodzeni Czytelnicy:

1. **L. Siemieński** Warszawa, 168 p. — Żeromski „Nowele".
2. **K. Malewicz,** Radomsko, 157 p. — Żeromski „Nowele",
3. **J. Obtułowicz,** Żywiec, 150 p. — Andrzejewski „Noc".
4. **Z. Hryniewiecki,** Głuchołazy, 146 p. — Boy „Znasz li ten kraj".
5. **T. Wilczyński,** Jelnia Góra, 143 p. — Brandys „Drewniany koń".
6. **Te-Ge,** Wrocław, 141 p. — Chrzanowski, „J. Lelewel".
7. **K. Denasiewicz,** Bielsko, 136 p. — Dąbrowska „Ludzie stamtąd",
8. **H. Cysewski,** Poznań, 135 p. — Dobraczyński „W rozwalonym domu".
9. **A. Rafińska,** Katowice, 134 p. — Hołuj „Próba ognia".
10. **W. Hajdukowa,** Katowice, 130 p. — Kossak „Puszkarz Orbano".
11. **E. Jaszczyszyn,** Strzelce, 130 p. — Kowalewski „Ofiarowanie".
12. **Dr. F. Wandokanty,** Wrocław, 130 p. — Jeans „Niebo".
13. **C. Wysocki,** Gorlice, 130 p. — Dobraczyński „W rozwalonym domu"

Nagrody wysyłamy pocztą.

Poniżej podajemy ilości punktów, które zaliczamy Czytelnikom na 49 Konkurs: Pierwsza cyfra oznacza ilość punktów zdobytych w Konkursie 48, a druga ogólną ilość zaliczonych punktów:

B. Pawełek 78 — 126, F. Nieuważny 78 — 125, T. Klimczak 52 — 124, M. Markowski 59 — 124, J. Tchórzewska 74 — 124, F. Magiera 42 — 120, A. Hajnisz 68 — 119, J. Prawdzicowa 73 — 119, D. Niemcowa 39 — 118, T. Murek 66 — 116, J. Meszaros 58 — 116, J. Mencel 42 — 115, S. Cichowski 65 — 113, L. Konopiński 68 — 112, P. Ciepałek 73 — 110, SOS 46 — 109, I. Zielińska 52 — 109, G. Luft 60 — 104, Z. Todorowa 41 — 103, E. Licznerski 65 — 100, J. Göttel 54 — 97, J. Komornicki 97 — 97, Madej i Różyński 85 — 96, M. Romer 96 — 96, C. Łodziński 45 — 95, J. Schindlerówna 58 — 95, J. Zawadzki 46 — 95, B. Zacharzewski 66 — 95, D. Fijałkowska 65— 96, H. Ogrodnik 44 —94, L. Twardowski 43 — 94, M. Juroszek 67 — 92, S. Jarosiński 50 — 86, M. Studencki 37 — 86, E. Matwiejczuk 27 — 85, S. Ruciński 35 — 85, H. Banda 50 — 84, W. Guja 46 — 83, A. Todorowska 83 — 83, J. Dzulga 62 — 82, W. Hübner 45 — 79, W. Glik 47 — 76, T. Kubiczek 76 — 76, Z. Skowroński 28 — 76, F. Górska 55 — 75, Z. Psarska 75 — 75, W. Psarski 75 — 75, Z. Lebensart 54 — 74, H. Brauman 31 — 73, M. Flisowska 55 — 73, A. Pręczkowska 73 — 73, M. Schmidt 55 — 73, Z. Kulaś 54 — 72, K. Rudzki 72 — 72, Dyskobol 72 — 72, O. Madurowicz 70 — 70, E. Parnicka 70 — 70, ESSE 70 — 70, K. Sobolewska 70 — 70, U. Mickiewicz 32 — 69, T. Nowy 69 — 69, W. Borkowski 17 — 68, R. Denenfeld 83 — 68, B. Presslerowa 68 — 68, M. Barcewicz 66 — 66, I. L. 66 — 66, H. Kosma 64 — 64, A. Olszewski 33 — 64, I. Bierkowska 39 — 63, T. Eliasiewicz 63 — 63, J. Pasek 43 — 63, L. Białowąs 61 — 61, H. Jeżewska 61 — 61, J. Sadulski 33 — 61, E. Kleinowa 60 — 60, J. Murkociński 29 — 60, Z. Przesłański 60 — 60, ISIS 59 — 59, L. Burczyk 58 — 58, M. Grzegorzewska 23 — 58, W. Jasieński 58 — 58, A. Stefanowicz 58 — 58, R. Przeczek 57 — 57, E. Hellman 43 — 56, T. Samitowski 55 — 55, T. Krawczyk 54 — 54, Z. Dyduch 29 — 53, REKS 49 — 53, R. Mazur 49 — 53, Z. Kochanowski 52 — 52, K. Siwy 52 — 52, I. Sierocińska 49 — 49, R. Barcikowski 35 — 47, M. Głuszczyszyn 17 — 47, T. Fedzin 43 — 43, B. Sowa 30 — 43, B. Kalinowski 30 — 43, J. Nawroczyński 43 — 43, S. Sosulski 32 — 42, E. Żerebecki 29 — 42, M. Studencki 41 — 41, J. Aulich 27 — 40, J. Bulzacki 36 — 39, A. Radliński 12 — 38, Z. Sułowski 36 — 38, L. Błauciak 16 — 37, J. Adamiec 37 — 37, J. Mazij 37 — 37, B. Nowosad 37 — 37, L. Strzałek 35 — 35, I. Bemówna 32 — 32, I. Kuraś 32 — 32, T. Cesarz 31 — 31, M. Paczkowski 12 — 30, H. Śliwkówna 15 — 26, M. Bettaglio 17 — 25, F. Miedziński 23 — 23, A. Kraszewski 21 — 21, T. Bielicki 4 — 17. A. Kuczewska 6 — 6.

Świat się śmieje..

FANTAZJA NADMORSKA

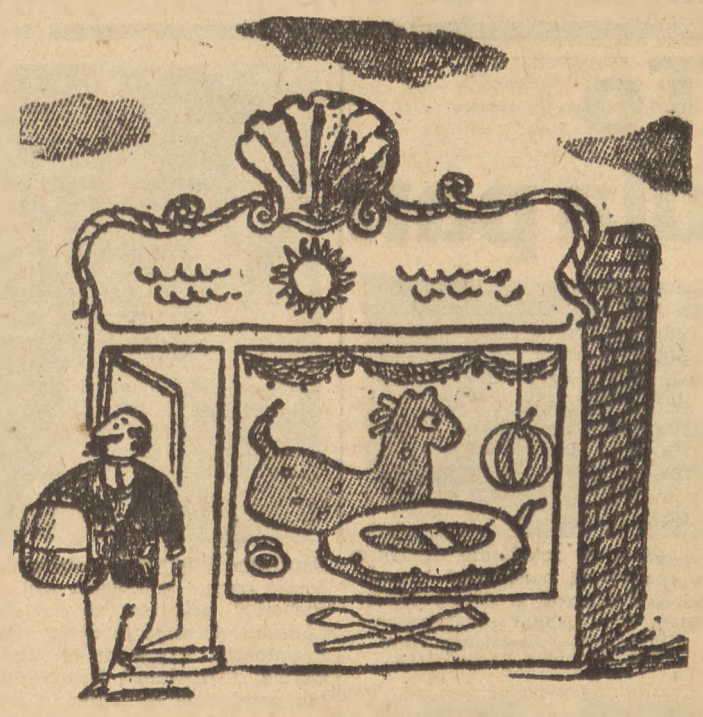

(„Pour Tous")

CAŁKOWITA RACJA

— Tak, tak, niech mi pan wierzy, że obecnie sytuacja w branży tekstylnej jest bardzo kiepska... („Figaro")

Choroby zwierzęce

szczególnie niebezpieczne dla człowieka

Niemal każde zwierzę domowe może zapaść na taką chorobę, która i dla człowieka jest niebezpieczna, przy czym należy od razu podkreślić, **że większość chorób zwierzęcych nie udziela się ludziom, te natomiast, które się udzielają — są prawie wszystkie śmiertelne.**

Na najgroźniejszych należy **psia wścieklizna, gdyż od niej najtrudniej się uchronić. Z reguły bowiem nie dostaje się tej choroby od własnego psa, lecz prawie zawsze od cudzego.** Niemniej jednak warto się poznać z jej objawami, tym bardziej, że **ślina psa chorego na wściekliznę może być zaraźliwa na kilka dni przed wystąpieniem u psa objawów choroby.**

Objawy te są łatwe do zaobserwowania: **pies staje się trwożliwy i nieposłuszny, nie przychodzi na wołanie właściciela (instynktownie boi się go pokąsać), traci humor, zaczyna mieć halucynacje** (np. łapie nieistniejące muchy). Po 1—2 dniach traci apetyt i pragnienie, natomiast zaczyna gryźć przedmioty niejadalne: słomę, drzewo, kamienie itp. Jednocześnie zdradza chęć do ucieczki. Jeżeli się zamyka go — wyje, gryzie łańcuch aż do wyłamania zębów, a puszczony na wolność napada na ludzi, nie warcząc ani szczekając. Po 2—3 dniach wałęsania się niekiedy powraca do domu, ale już tylko na konanie. W 4—5 dniu choroby zaczynają występować objawy niedowładów i porażeń, z pyska cieknie lepka ślina, język wysunięty nieruchomo, źrenice rozszerzone.

Na mocy istniejących przepisów o każdym wypadku wścieklizny należy natychmiast zawiadomić władze administracyjne: najbliższy posterunek milicji. Psa — jeżeli można — zabić, bo leczenie jest niemożliwe a pomieszczenie psa gruntownie odkazić. **Człowieka, ukąszonego przez psa chorego, należy natychmiast skierować do najbliższego ośrodka zdrowia na zastrzyki przeciw wściekliźnie, gdyż zaniedbanie grozi śmiercią w męczarniach.**

Równie groźna jest dla człowieka **nosacizna koni.** Chorobę tę poznaje się po tym, że na ciele konia tworzą się gruczoły niegorące i niebolesne, koń kaszle, a po wysiłku cieknie mu z nozdrzy krew, lub ropa żółto-zielonej barwy. Na błonie śluzowej nozdrzy tworzą się krosty i ranki; niektóre ranki goją się, pozostawiając promieniste białawe blizny. Koń traci apetyt, chudnie, sierść bez połysku, nastroszona. Niekiedy na tylnych nogach, na bokach piersi tworzą się wrzodziki i ranki, skóra grubieje i zrasta się z mięśniami. Tworzenie wrzodów poprzedzają obrzęki w postaci sznurów: ten skórny rodzaj nosacizny zwany jest tylczakiem.

Okres rozwojowy choroby trwa najmniej trzy tygodnie. Nie zawsze występują wszystkie wymienione objawy, dlatego rozpoznanie choroby jest dość trudne. W wypadkach wątpliwych należy się zwrócić do weterynarza, ale pamiętać trzeba, **że choroba przenosi się na człowieka przez dotknięcie i jest ogromnie zaraźliwą. Zarówno dla ludzi, jak i dla koni wynik jest tylko jeden: — śmierć — przy czym u ludzi następuje ona znacznie szybciej i bardziej męcząco.**

Trzecia wreszcie choroba, ogromnie niebezpieczna, to gruźlica kotów. Jak każda gruźlica, atakuje ona drogi oddechowe zarówno u człowieka jak i kota.

Początkowe jej objawy u kota są niemal nieznaczne: **kot chętnie liże ścianę, jeśli jest pobielana i w ogóle ma apetyt na wapno, podobnie jak przy innych swoich przypadłościach płucnych. Kaszle i kicha, szczególnie rano, lub po dłuższym śnie, co jeszcze nie dowodzi gruźlicy, jeśli ma apetyt i humor. Z chwilą, gdy przestaje jeść, nie ma wątpliwości, że jest to gruźlica.** Wtedy nie ma mowy o leczeniu, gdyż po dwóch trzech dniach takiego postu kot zdycha wśród objawów uduszenia: puchną mu przewody oddechowe, tamując oddech.

Dla ludzi gruźlica kocia jest zaraźliwa od najwcześniejszych jej objawów i z chwilą przeniesienia bakterii do ust lub do nosa rozpoczyna się błyskawicznie szybka ich wędrówka po wszystkich błonach śluzowych przewodu oddechowego. Najodporniejszy na gruźlicę człowiek w ciągu dwóch tygodni umiera.

Należy więc pamiętać że jeżeli kot kicha lub kaszle — nie wolno go głaskać i w ogóle dotykać, lecz dawać do jedzenia wapno w niewielkich ilościach (jedna do dwu łyżeczek od czarnej kawy dziennie do mleka lub mięsa) i obserwować apetyt. Z chwilą utraty apetytu — zabić.

Kącik fotograficzny

Przysłona — sprzymierzeniec fotoamatora

Urządzenie, przy pomocy którego regulujemy czas naświetlania, nazywamy migawką. W popularnych aparatach amatorskich przeważnie spotykamy się z migawką tzw. przednią, tj. umieszczoną w przedniej części aparatu. Migawki te można podzielić na dwie grupy: migawki proste, działające po naciśnięciu spustu oraz sprężynowe (Compur), które przed dokonaniem zdjęcia musimy naciągnąć przy pomocy odpowiedniej dźwigni.

Migawkę można regulować prawie we wszystkich aparatach z wyjątkiem zupełnie tani. Do tego celu służy najczęściej tarcza, oznaczona literami: Z (lub T), B. i M. Przy nastawieniu na literę Z. (T) migawka po naciśnięciu spustu pozostaje otwarta, a celem zamknięcia musimy powtórnie nacisnąć spust. Z urządzenia tego korzystamy przy zdjęciach nocnych, wzgl. bardzo ciemnych wnętrz. Migawka nastawiona na literę B., pozostaje otwarta tak długo, dopóki naciskamy spust. Stosujemy je przy wszystkich zdjęciach tzw czasowych. W obu wypadkach wskazane jest używanie wężyka spustowego, gdyż naciskając spust ręką, możemy poruszyć aparat. Nastawiając tarczę na literę M. (w wypadku gdy nie uwidoczniono litery M., nastawiamy tarczę na odpowiednią cyfrę np. 1/50 sek.), możemy dokonywać zdjęć migawkowych.

Najdoskonalszą jest migawka szczerinowa, przy pomocy której uzyskać możemy czas naświetlania do 1/1.250 sek. Jest ona wbudowana w aparatach droższych (Leica, Exakta, Contax), w tylnej części kamery.

Z tego, co pisaliśmy poprzednio, wiemy, że im objektyw jest jaśniejszy, tym krótszego czasu naświetlania wymaga zdjęcie. W praktyce rzadko jednak posługujemy się pełną średnicą ojektywu. Z rozmaitych powodów (napiszemy o tym później) zmniejszamy średnicę otworu, przez który przechodzi do kamery światło. Mówimy wtedy, że przesłaniamy (blendujemy) objektyw, a urządzenie służące do celu nazywamy przysłoną (blendą). Przysłona złożona jest z blaszek stalowych, wyciętych w kształcie sierpów, zsuwających się za obrotem pierścienia na oprawie objektywu. Cyfry, znajdujące się na pierścieniu, podają nam względny otwór (siłę światła) i ułożone są w ten sposób, że przy każdym zmniejszeniu przysłony, należy podwoić czas naświetlania. Naprzykład na oprawie objektywu, którego względny = 1:3,5 mamy następujące przysłony: 4, 5, 6, 3, 9, 12, 5, 18. Jeżeli więc przy pełnym otworze (3,5) czas naświetlania powinien wynosić 1/200 sek., to przysłaniając obiektyw do 4,5 musimy ten sam przedmiot naświetlić 1/100 sek., a przy przysłonie 6,3 już 1/50 sek. Naodwrót, jeżeli dla przysłony 12,5 właściwy jest czas 1/30 sek., to ten sam przedmiot fotografowany przy użyciu przysłony 9 naświetlimy dwukrotnie krócej, a więc 1/60 sekundy.

Umiejętność posługiwania się przysłoną jest bardzo ważna, ze względu na głębię ostrości. Głębię ostrości można powiększyć dwoma sposobami: przez zblendowanie, lub też przez oddalenie się od przedmiotu fotografowanego. Poza tym, im krótsza jest ogniskowa obiektywu, tym większą posiada on głębię ostrości.

Jakie wynikają stąd korzyści praktyczne?

Przede wszystkim możemy fotografować przedmioty niejednakowo oddalone od aparatu (osoby na tle krajobrazu). Po wtóre omyłka w ocenie odległości przy nastawianiu aparatu „zgubi się" dzięki istnieniu głębi ostrości.

Niektóre aparaty posiadają tabelkę, wskazującą głębię ostrości dla danej ogniskowej. Fotoamatorom, którzy takiej tabelki nie posiadają, radzimy usilnie odpisać ją z jakiegoś podręcznika, lub też zwrócić się z tym do nas. Przekonacie się, jak bardzo ułatwia to pracę.

W ostatnim „Kąciku" zaszła omyłka w nagłówku tabeli naświetleń. Winno być: Czas naświetlania w czerwcu, przy słonecznej pogodzie, materiał negatywowy 17/10 Din. od ogdziny 8 do 16.

„Wakacje". Płyta izochrom, czerwiec, godz. 10, filtr F 6,3 1/100 sek.

Ciekawostki ze świata

Wyspa Helgoland znów stała się ośrodkiem zainteresowania w związku z przeprowadzoną nad nią akcją bombowców RAF, które dwoma kolejnymi falami zrzuciły na wyspę bomby 500 funtowe. W akcji brało udział 40 bombow ców. Zdjęcia nasze przedstawiają

trzy fragmenty z Helgolandu; pochodzące z okresu przygotowań do pamiętnego wysadzenia części wyspy w powietrze. Zdjęcie pierwsze — to wnętrze jednego z bun krów dla łodzi podwodnych, już obecnie nie istniejące, na drugim — przygotowywanie pocisków

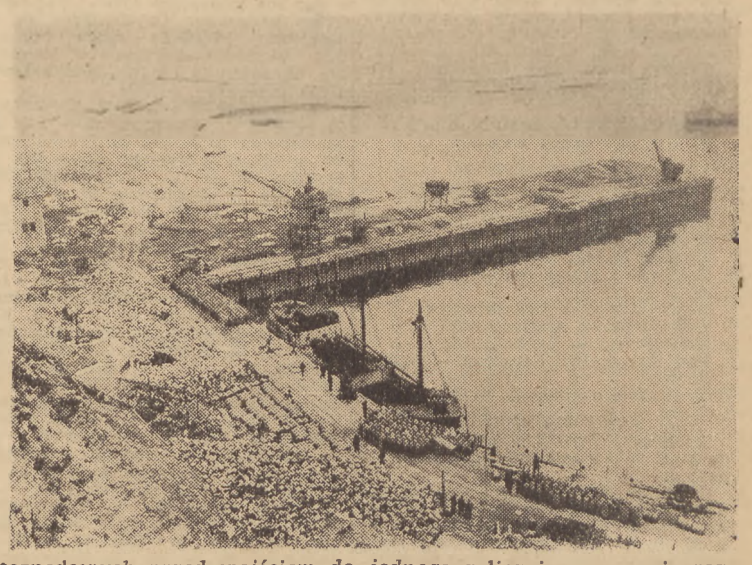

torpedowych przed wejściem do jednego z licznie na wyspie rozsianych bunkrów podziemnych i trzecie — ogólny widok portu helgolandzkiego

To dla pań

Nowością w dziedzinie damskiego obuwia są pantofelki o podeszwie i obcasie z przezroczystej masy, tzw. „szkła plastycznego"
(Obsługa fot. Associated Press dla Dziennika Zachodniego

Ostatnim krzykiem mody w dziedzinie fryzur kobiecych jest „arcydzieło" znanego w Paryżu i Londynie mistrza fryzjerskiego - Raymonda. Fryzurze tej nadano nazwę „Chipolata". Fryzurę zdobią grzebienie hiszpańskie, wpięte na czubku głowy
Archiwum fotogr. Dziennika Zachodn.

Wprawdzie przyzwyczailiśmy się w okresie lata nosić na głowie tylko... własne włosy, niemniej każdą z pań zaciekawią zapewne ostatnie modele letnich kapeluszy, zaprezentowane na konkursie elegancji, urządzonym w jednym z kąpielisk angielskich.

Zdjęcie pierwsze pokazuje duży kapelusz z białej słomki, ozdobiony pękiem równie dużych kwiatów, na drugim — zalotny kapelusik z naturalnej słomy, przybrany różami i woalką, pokrywająca całą twarz
(Obsługa fot. Associated Press dla Dziennika Zachodniego.

Przeczytajcie *dzieciom...*

WŁADYSŁAWA PASZKOWSKA

Wietrzyk

Hi, hi, hi, hi, ha!
lecą słomy źdźbła!
całe pęki, całe wiechcie,
napraw, Grzela, dach nareszcie,
hi, hi, hi, hi, ha!
wietrzyk polem gna!
podarł bury fartuch chmurze,
wymiótł błocko i kałuże,
swoją służbę zna!
wietrzyk polem gna!
fruwa chusta na wierzbinie,
zaraz z rzeką w morze spłynie,
bo ją wicher gna!
Jaguś, chusta twa!
li, li, li, li, la . .
wietrzyk w gaju gra . . .
na gałązkach, na olchowych,
na listeczkach brzezinowych,
li, li, li, li, la,
cichuteńko gra . . .

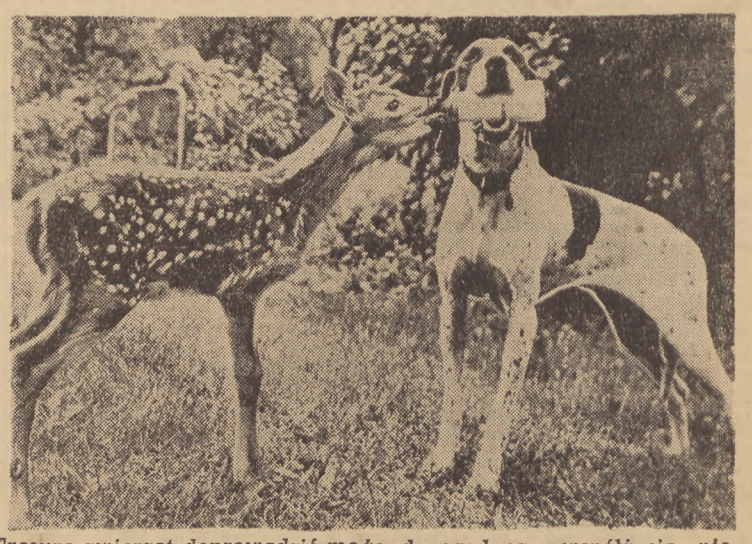

Tresura zwierząt doprowadzić może do zgodnego współżycia nie tylko przysłowiowego już psa i kota. Pies do polowań w roli niańki, karmiącej flaszką z mlekiem młodą sarenkę, to również niezwykły obrazek przyjaźni w świecie zwierzęcym.
(Obsługa fot. Associated Press dla Dziennika Zachodniego.